

Legendy polskie

Wiano świętej Kingi
i inne opowieści

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

© Copyright by Księgarnia Wydawnictwo Skrzat
Stanisław Porębski, Kraków 2019

Wybór i opracowanie tekstów: Ewa Stadtmüller
Ilustracje: Kazimierz Wasilewski
Projekt okładki: Zofia Zabrzaska
Korekta: Sabina Grabias
Skład: Michał Wójcik



ISBN 978-83-7915-698-6

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski
ul. Prądnicka 77, 31-202 Kraków
tel. (12) 414 28 51
wydawnictwo@skrzat.com.pl
www.skrzat.com.pl

Wiano świętej Kingi

Książę Bolesław był jeszcze małym chłopcem, gdy został sam na świecie. Rządzić jeszcze nie umiał, robili to za niego panowie.

Oni to właśnie, gdy z dziecka stał się młodzieńcem, postanowili znaleźć mu żonę. Długo jeździli po sąsiednich dworach, przyglądając się różnym pannom. Wreszcie ich wybór padł na Kingę – młodszą córkę króla węgierskiego.

Sam kasztelan krakowski z wojewodą wybrali się w swaty. Wśród darów wiezionych dla węgierskiej królowny był i ten najcenniejszy – piękny zaręczynowy pierścień z rubinowym oczkiem – dzieło najlepszego krakowskiego złotnika.



Król węgierski przyjął gości łaskawie. Szanował Polaków za ich waleczność i cieszył się, że zyska takich sprzymierzeńców. Dużo dobrego słyszał też o młodziutkim Bolesławie. Jeden był tylko problem – Kingę bardziej jeszcze do lalek ciągnęło niż do małżeństwa.

– Czas szybko płynie... – uśmiechnął się krakowski kasztelan. – Wystarczy nam słowo twoje, panie, a spokojnie czekać będziemy, aż kwiatuszek ów rozkwitnie dla naszego księcia.

Z radością przystał na to król i aby zgodę swą przypieczętować, zaprosił posłów na wspianą ucztę. Czerwone węgierskie wino lało się strumieniami, a na stołach pojawiały się coraz to nowe smakołyki: pieczone ryby, pachnące mięsiva. Wiedzieli polscy panowie, skąd taki aromat tych specjałów. To sól, dzięki której każda potrawa nabiera smaku. Sól – skarb bezcenny, który dobywa się tu z ziemi jak węgiel. „Przydałoby się takie bogactwo Polsce” – myśleli, słuchając skocznych tonów madziarskiej muzyki.

Nawet się nie obejrzeni, gdy po raz drugi stukali do bram węgierskiego zamku. Król powitał ich przyjaźnie i zaraz rozkazał przywołać Kingę. Gdy posłowie zobaczyli dziewczynę, aż zaniemówili ze zdumienia. Nie dziecko to już było, a panienka śliczna – ciemnowłosa, jasnooka, smukła jak młoda brzoźka.

– Już czas, córeczko – uśmiechnął się król. – Chodź, zobacz, jaki przygotowałem ci posąg.

Królowna spojrzała na ciężkie skrzynie po brzegi wypełnione kosztownościami i zamyśliła się.

– Nie takich skarbów Polsce trzeba – szepnęła wreszcie.

– A jakich? – zdumiał się król.

– Soli, ojczu. Soli nie mają i od nas muszą ją kupować. A ja bym chciała, żeby przyprawiano nią strawę nie tylko na dworze, ale i w chłopskiej chacie.

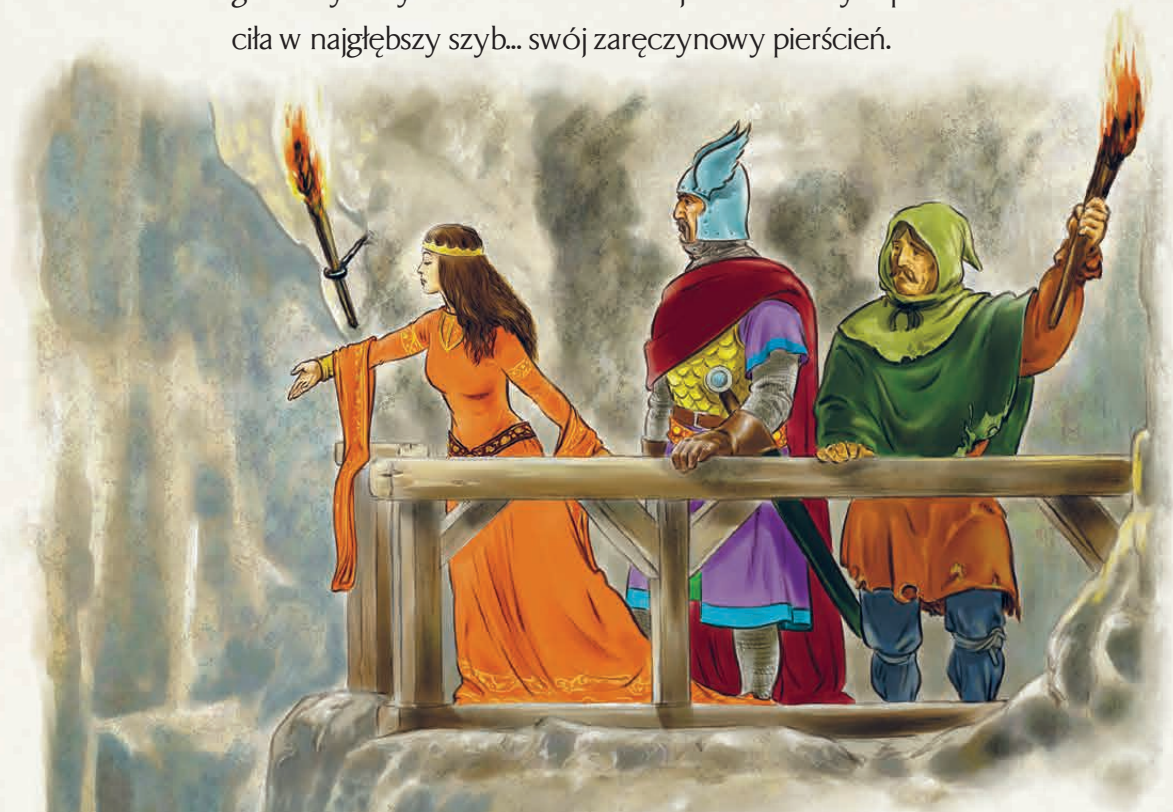


Roześmiał się król serdecznie.

– Musiałbym im całą kopalnię ofiarować – powiedział – i uwierz mi, dziecko, chętnie bym to uczynił, ale nie wiem jak...

Królowna przytuliła się do ojca i nie prosiła już o nic.

Całą noc spędziła na modlitwie, a rano kazała się zaprowadzić tam, gdzie wydobywano sól. Wiedziona jakimś dziwnym przecuciem wrzuciła w najgłębszy szyb... swój zaręczynowy pierścień.



Nazajutrz wyruszyła do swej nowej ojczyzny. Po uroczystych zaślubinach młoda para zamieszkała na Wawelu.

– Muszę ci coś wyznać, mężu – rzekła któregoś dnia Kinga. – Straciłam zaręczynowy pierścień, który przed laty od ciebie dostałam, lecz coś mi mówi, że go niebawem odzyskam. Wybierzmy się jutro za Kraków.

– Zgoda – uśmiechnął się Bolesław. – Najwyższy czas, abyś bliżej przyjrzała się swej nowej ziemi.

Podobały się Kindze złociste pola, szumiące lasy, podobali jej się ludzie pozdrawiający ich po drodze.

W pewnej chwili poprosiła, aby zatrzymano orszak.

– Jak zowie się to miejsce?

– Wieliczka.

– Proszę cię, mężu, nie pytaj o nic, zwołaj ludzi i każ im kopać studnię.

Powoli rósł wzgórek wyrzucanej ziemi. W pewnej chwili robotnicy przerwali pracę.

– Dalej się nie da, miłościwa pani – wysapali – żywy kamień.

– Odbijcie mi kawałek tego kamienia.

Po chwili wydobyto sporą bryłę.

– Królowo! – krzyknął ktoś nagle. – To nie żaden kamień, to... sól.

Szczera sól! Skosztujcie sami!

Trzęsącymi się z przejęcia rękoma rozkruszono bryłę. Jakież było zdumienie zebranych, gdy wypadł z niej... pierścień. Złoty pierścień z rubinowym oczkiem. Wzniósła księżna oczy ku niebu, a jej

twarz rozjaśniła się szczęściem – ma, czego chciała. Ofiaro-

wała tej ziemi skarb więcej wart niż złoto i klejnoty.

Skarb służący biednym i bogatym. Skarb bezcenny – sól.



Czerwone i czarne kamienie

Dawno, dawno temu w jednej ze śląskich wiosek żyła sobie uboga sierota – Hanusia. Lubili ją wszyscy, bo była pracowita i wesoła, a przy tym śliczna jak polny kwiatusek. Mieszkała w małej chatce na samym skraju wsi.

Pewnego dnia chrzestna dziewczyny – stara kowalowa – przyniosła jej donicę mirtu.

– Podlewaj go dobrze – uśmiechnęła się tajemniczo – bo widzi mi się, że niedługo na wianek ci się przyda. Słyszałam, że bogaty Eliasz swaty chce ślać do ciebie. Będziesz pierwszą gospodynią we wsi. Cieszysz się?



Haneczka ustawiła mirt przy oknie. Wcale się nie cieszyła, bo w jej sercu od dawna królował jasnowłosy Matyjaszek – rodzony brat tamtego, dobry i pracowity, ale biedny tak jak ona.

– Wiem, o kim myślisz – pokiwała głową chrestna – ale zastanów się, dziecko. Matyjaszek to szczerzy chłopak i w ciebie jak w tęczę wpatrzony, ale będę będziesz przy nim klepać.

– To będę – rzekła spokojnie Hanka – ale za Eliasza nie pójdę.

Westchnęła kowalowa. Jak tu radzić komuś, kto tylko własnego serca słucha? Markotna zabrała się do domu, a Hania jak zwykle pobiegła po chrust.

Ledwo pochyliła się nad pierwszą gałązką, poczuła czyjeś dłonie na oczach.

– Matyjaszek! – zawołała radośnie. – Chyba ty jeden potrafisz podejść tak cicho, że cię nawet zając nie usłyszy.

– Pozwól, zajączku, że ci pomogę – zaśmiał się chłopak.

Pracowali tak razem do wieczora, a o zachodzie słońca usiedli zmęczeni przed chatą. Widział Matyjaszek, jak bardzo dziewczyna jest mu rada, i serce śpiewało w nim z radości.

„Jeszcze przed świętami oświadczę się – marzył sobie – a na Boże Narodzenie weźmiemy ślub”.

Pech chciał, że swaci Eliasza i Matyjasza o jednej godzinie spotkali się przed chatą dziewczyny. Awantura wisiła na włosku. Kowalowa, która tam akurat była, postanowiła zażegnać bójkę.

– Niech każdy – rzekła – przyniesie Hanusi podarek. Którego prezent wybierze, ten zostanie jej mężem.



Nie spodobał się ten pomysł dziewczynie, ale dla świętego spokoju się zgodziła.

– Choćby mi Matyjaszek tylko siebie samego ofiarował – i tak jego wybiorę – pomyślała.

– Dobrze by było, żeby ten twój brat gdzieś się zgubił – poradził Eliaszowi swatający go stryj. – Nie na długo, ot – tak na trzy dni, póki ci spokojnie wesela nie wyprawimy. Znam nawet takie miejsce, gdzie mógłby się zapodziać. Zaraz za wsią rośnie przy drodze stara wierzba z dziuplą tak głęboką, że wrzucony tam człowiek o własnych siłach nie wyjdzie...

Spodobał się ten pomysł Eliaszowi. Nazajutrz namówił Matyjaszka, żeby wyruszyli razem. Gdy mijali wierzbę, zniemacka rzucił się na brata i uwięził go w dziupli.

We wnętrzu pnia było tak ciasno, że biedny Matyjaszek nie mógł się ruszyć. Na domiar złego spróchniałe drewno obsunęło mu się spod nóg i spadł jeszcze niżej.

Gdy oczy przyzwyczyły mu się nieco do mroku, dojrzał chodnik. U jego wylotu płonęło tajemnicze zielonkawe światło.